

Magdalena Bajer

Z takich gwiazd wylecieli...

Niepodległość i Pamięć 13/3 (24), 111-126

2006

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Magdalena Bajer

Warszawa

Z takich gniazd wylecieli ...

O domu rodzinnym, który się kochało, który opuściło się z poczuciem wdzięczności za cały duchowy bagaż poniesiony w świat, do którego wraca się nie tylko wspomnieniem, ale z pytaniem, co doradzono by w każdej życiowej rozterce – o takim domu mówi się: gniazdo.

Inteligenckie gniazda we Lwowie, domy, gdzie żyły pokolenia ludzi wykształconych, badaczy, artystów polityków i działaczy społecznych urządzających niepodległą Polskę po rozbiorach, wichur historii rozmiótł w różne miejsca nowego terytorium Kraju. Bardzo wiele rodzin znalazło się na nowych ziemiach, które znów przyszło zagnieżdżać pracą i myślą dla dzieci oraz wnuków, choć w pierwszych powojennych latach nikt nie chciał się spodziewać, że lwowskie dzieci, przywiezione tutaj transportami dorosną we Wrocławiu, Zabrzu, Gliwicach...

Teraz, kiedy dorosło trzecie pokolenie – moje wnuki, kiedy należymy z powrotem do wspólnoty narodów europejskich, a we Lwowie powstaje filia, wrocławskiego po wojnie, Ossolineum, kiedy już mniej albo wcale nie boli utrata zawsze wiernego miasta, trzeba dawne lwowskie domy przypominać. Dlatego, że w ich dziejach są, ciągle niewyczerpane, zasoby tradycji, takiej jakiej ogromnie dzisiaj potrzeba. Tradycji służby narodowi i państwu, wierności niezmiennym ideałom i frajdy, jak we Lwowie mówiono, z tego co się robi. Ta tradycja żyje, ewoluuje i modyfikuje się. W wielu rodzinach trwa pamięć o dalekich przodkach, jakże często przybyszach z różnych krajów Europy, którzy obco brzmiącymi nazwiskami zapisali piękne karty patriotycznych świadectw i bohaterskich czynów. Warto się temu przyjrzeć i, może, zobaczyć przykład. Niejeden.

Wiadomości o „Rodach uczonych”, także lwowskich, zbieram od roku 1995. Przez ten czas sporo osób wymienionych w tym tekście odeszło. Inni postąpili w karierach naukowych, zmienili miejsca pracy albo są dziś na emeryturze. Każdej z nich jestem ogromnie wdzięczna za wspomnienia i refleksje o życiu w naszym mieście.

Romantyczni praktycy

„...znaczne i pełne starych książek biblioteki mieszczące się po drobnych dworach świadczyły o intelektualizmie plemienia Romerów. Adam Romer, zmarły w 1616, był komentatorem mów Cicerona, profesorem Jagiellońskiego Uniwersytetu, mój dziad stryjeczny Aleksander był historykiem i założył bibliotekę w Zabelczu, a jego bratanek Gustaw był jakiś czas docentem uniwersytetu monachijskiego”¹.

Od postaci wielkiego geografa i kartografa, Eugeniusza, zaczyna się najnowsza historia Romerów. Z jego wnukami, Andrzejem i Janem, chodziliśmy do powojennej wrocławskiej szkoły, pełnej wówczas, wygnańców ze Lwowa. Później miałam poznać dwóch synów, Edmunda i Witolda, jeszcze później innego wnuka Tomasza. Wszyscy wnieśli własny, duży dorobek do skarbnicy „uczonego” rodu.

*

Eugeniusz Romer urodził się we Lwowie w roku 1871. Na początku następnego stulecia ukończył tam Uniwersytet Jana Kazimierza i rychło został jego profesorem, obejmując Katedrę Geografii i skupiając wokół siebie nowoczesną szkołę naukową. Najbardziej znanym, a wczesnym, bo z 1908 roku, dziełem profesora był „Atlas geograficzny”, z którego kilkunastu wydań (ostatnie po II wojnie) pokolenia Polaków uczyły się kształtu świata.

Po wybuchu pierwszej wojny światowej profesor Romer, przebywający we Wiedniu, przygotował, w ciągu jednego roku, „Geograficzno-Statystyczny Atlas Polski” wiedząc, że przyjdzie czas zawierania przez państwa zwycięskie traktatu pokojowego i ustalania nowych granic w Europie, a wtedy potrzebne będą argumenty na rzecz naszych roszczeń terytorialnych. Atlas posłużył temu podczas Konferencji Wersalskiej, kiedy to Eugeniusz Romer cały rok pracował, znów bez wytchnienia, jako ekspert polskiej delegacji, przygotowując wykresy i zestawienia – demograficzne, etnograficzne, historyczne... Z notatek wtedy robionych powstał „Pamiętnik paryski”, gdzie można przeczytać znamienne wyznanie autora: „Służyłem Paderewskiemu i Dmowskiemu, i obu Grabskim, w pierw Władysławowi, potem Stanisławowi, służyłem Korfantemu, okazyjnie Daszyńskiemu i Bartłowi, a gotów byłem służyć wszystkim, którzy wzięli się – rzecz to ich sumienia – wziąć losy Polski na swe barki”². Uczeń różnych specjalności nie odmawiali temu wezwaniu, nawet jeśli przerywało to ich kariery na zagranicznych uniwersytetach.

Eugeniusz Romer kontynuował służbę Niepodległej wygłaszając popularne odczyty o geografii Polski, a podczas plebiscytu agitował na Śląsku. Wykazał także wielkie zdolności organizacyjne zakładając i prowadząc z rozmachem nowoczesne wydawnictwo kartograficzne „Książnicę Atlas” z siedzibą naprzeciwko mego rodzinnego domu we Lwowie.

1 E. Romer, *Pamiętniki*, Znak, Kraków 1988.

2 E. Romer, *Pamiętnik paryski 1918-1919*, Ossolineum 1989.

*

Podobne talenty odziedziczył starszy syn Edmund, który, ukończywszy Wydział Elektryczny na Politechnice Gdańskiej, po odbyciu stażu w Niemczech, przystąpił do urzeczywistniania upragnionego celu, tj. dostarczenia powstającemu polskiemu przemysłowi elektrycznych przyrządów pomiarowych rodzimej produkcji. Zaczęło się od pomocy szkolnych do nauczania fizyki. W roku 1939 ruszyła produkcja szybkościomierzy do polskiego fiata. Losy tego przedsięwzięcia opisał w książce, której nie pozwolił mu wydać, wszechwładny w PRL, Naczelny Zarząd Wydawnictw, uznawszy ją za „apoteozę inicjatywy prywatnej” (!)

Wojnę Edmund Romer przewalczył w RAF-ie (w obsłudze naziemnej, jako że latanie uniemożliwiła mu nagła choroba oczu) – rodziną w Polsce opiekowali się pracownicy lwowskiej fabryczki. Po wojnie próbował prowadzić wytwórnię przyrządów pomiarowych Metron, ale władze komunistyczne szybko ją zamknęły. Wtedy poświęcił się pracy naukowej w zakresie miernictwa elektrycznego, szybko zostając profesorem Politechniki Gliwickiej.

*

Młodszy brat Witold prowadził po wojnie, przez wiele lat Katedrę Fototechniki na Politechnice Wrocławskiej. Tam poznałam profesora, który tłumaczył mi, na czym polega izohelia – metoda fotograficzna pozwalająca uzyskiwać zdjęcia zupełnie podobne do drzeworytów. Jeden z jego synów przerwał karierę naukową w tej samej uczelni i poświęcił się sprowadzaniu do Polski elementów sztucznych nerek. Drugi osiadł zagranicą.

*

Opowieść rodzinną pomógł mi skomponować z urywków spotkań, z zastyszeń we własnym domu, z lektur – profesor Tomasz Romer syn Edmunda, który dobrze pamięta dziadka Eugeniusza i jego lwowski dom, gromadzący całą rodzinę na niedzielnych obiadach i długich potem rozmowach. Podczas wojny, gdy ojciec, w tajemniczych dla dziecka okolicznościach zniknął z domu, ostoją, źródłem wiedzy o świecie i postaw wobec zdarzeń wokoło był właśnie dziadek, zawsze cierpliwie słuchający każdej opinii, także gdy pochodziła od nastolatka, przekonujący do swoich racji tak długo aż nastolatek przestawał „upierać się tylko dla honoru”. Czy chciał, żeby jego synowie i wnuki poszli drogą naukową? Pewnie tak, ale nigdy tego nie próbował narzucić. Mój rozmówca uważa zresztą, że jego ojciec nie zostałby profesorem i nie wykładał w Gliwicach gdyby mógł prowadzić fabrykę przyrządów pomiarowych, a z czasem może czegoś innego.

„W pokoju Ojca dość dużym, dwuokiennym stoi biurko z lwowskiej jego pracowni, dwa regały z resztkami lwowskiej biblioteki, staromodne mosiężne łóżko i stół zarzucony mapami i papierami. Widocznie oderwał się od pracy gdy wszedłem do mieszkania. Ale chwilowo usadza mnie na boku, czuję, że tematem pierwszej rozmowy ma być to, co nas różni. A różni nas przewrót religijny Ojca, niedostępny dla mnie wówczas. Jest mi bardzo przykro, że nie

będę mógł odpowiedzieć w sposób zadowalający na pytania, których się spodziewam ze strony Ojca, a tak chciałbym uniknąć jakiegokolwiek przykrości – teraz, zaraz przy pierwszym spotkaniu. Pytam więc o pracę rozłożoną na stole. Ojciec chyba wyczuwa moją intencje, ja zresztą naprawdę z wielkim zaciekawieniem, może nawet zdumieniem, spoglądam na rozłożone mapy.

Jest to powrót do zagadnień klimatologicznych, które wplecione były w cały ciąg pracy Ojca od pierwszych samodzielnych naukowych jego kroków. Od nowa atakował problem regionalnej, a więc geograficznej klasyfikacji klimatu, tym razem też z inicjatywy wyzwolonego państwa. Ojciec objaśnia, że jest to zamówienie Głównego Urzędu Pomiarów Kraju na mapy klimatyczne do nowego narodowego „Atlasu Polski”³.

Pierwsze po wojnie spotkanie Edmunda Romera z ojcem odbyło się w Krakowie, gdzie wielki uczony objął Katedrę Geografii UJ, choć był już sędziwy i wyniszczony przeżyciami okupacyjnymi. Syn, jak zawsze, przyszedł gotowy na trudną rozmowę, bez myśli o jakimkolwiek uniku, jakimkolwiek niedopowiedzeniu w kwestiach zasadniczych, a taką było dla Eugeniusza Romera jego nawrócenie podczas pobytu w klasztorze Bazylianów, gdzie się w wojennym Lwowie ukrył. Zmarł w 1954 roku.

Wątki: naukowy i obywatelski powtarzają się w trzech pokoleniach. Występują też podobne cechy: prawość, upór w dążeniu do celu i ów wspomniany zmysł przedsiębiorczości – podporządkowany zadaniom obywatelskim właśnie a przynoszący satysfakcje, wtedy gdy mógł przynosić owoce.

*

Profesor Tomasz Romer mówił mi o zaangażowaniu swego ojca w Sierpniową „Solidarność”, podkreślając, że nigdy nie było w nim nastawienia „im gorzej tym lepiej”, choć trudno mu było pojąć nikczemność i absurdy rzeczywistości, w której zakazano mówić głośno o tym, co on sam robił przed wojną- z najgłębszego poczucia powinności względem ojczyzny.

On sam wybrał medycynę z podobnych względów. Chciał być lekarzem na prowincji, upatrzył sobie nawet miejsce przyszłej pracy – w północnej części Śląska, gdzie lekarzy było wtedy najmniej. Los zrządził inaczej i „po drodze” zaproponowano mu stanowisko asystenta w teoretycznym Zakładzie Patomorfologii, który to zakład zajmował się regulacją hormonalną, badając funkcje gruczołów wydzielania wewnętrznego na zwierzętach. Młody lekarz tęsknił za kliniką i w końcu lat pięćdziesiątych wrócił tam, zachowując jednak ścisłą więź z tym, co nazywa „pracą podstawową”, tj. medycyną teoretyczną. Uważa to dzisiaj za wielkie szczęście, skromnie nie przypisując sobie samemu autorstwa pomysłu.

W klinice wybrał pediatrię – z dwu powodów. Wiek dziecięcy to okres rozwoju narządów i funkcji organizmu, wydawał się więc szczególnie ciekawy.

3 E. Romer, *Geograf trzech epok*, Czytelnik, Warszawa 1985.

Zarazem ważne jest, by rozwój przebiegał prawidłowo i medycyna ma tu ważne zadania.

Rychło pojawił się bardzo wyraźny i ważny cel – tak jak to było w życiu ojca i dziadka. Tomasz Romer postanowił napisać podręcznik, do czego potrzebne było własne doświadczenie lekarskie i dobra „baza kliniczna”. Dorabiał się tego przez lata. Podręcznik endokrynologii dziecięcej ukazał się w roku 1993, ale profesor mówiąc o swojej pracy nie używał trybu dokonanego. „To jest wieloletni życiowy program, który czyni życie bardzo interesującym i, w końcu, pożytecznym, a to chyba bardzo ważne”.

Przez kilkanaście lat pracował w Centrum Zdrowia Dziecka, wychowując tam zespół znakomitych specjalistów. Z jego inicjatywy nawiązano współpracę z przodującymi ośrodkami Wielkiej Brytanii, Francji, Niemiec – wtedy gdy nikt nie mówił głośno o naszym powrocie do Europy, którą to współpracę profesor osobiście koordynował.

*

Żona Tomasza Romera jest biologiem – ponoć czasem żałuje, że nie poszła na medycynę. Jedna z córek (siedemnaste pokolenie w rodzinnej genealogii) kontynuuje naukową tradycję jako biolog molekularny. Trudno zaiste rozdzielać motywy postępowania wszystkich tych osób, o których była tu mowa. Naturalne było i jest dla nich łączenie pracy zawodowej ze służeniem innym ludziom, radości wielkiej z tej pracy z poczuciem wypełniania powinności, której nie wolno poniechać, która w rozliczeniu życia okazuje się ważniejsza niż własny naukowy sukces. Takie postawy formowały się w lwowskich domach – poprzez przykłady, poprzez rozmowy i wdychanie właściwej tym domom aury.

Szable, księgi, lancet i... nafta

„O pradziadku mym i jego przodkach wiedziałem wówczas tylko tyle, że wszyscy bili się za Polskę”⁴. Lakonicznemu stwierdzeniu potomka francuskich hugenotów, przybyłych do Galicji prawdopodobnie z okolic Montpellier, zaprzecza dalszy ciąg jego pamiętnika, gdzie sporo miejsca zajmuje wczesna historia rodziny.

*

Najdawniejsze zapiski o rodzinie, już w Polsce, sięgają roku 1730. Dziesięć lat później Franciszek Longchamps zakładał we Lwowie pierwszą lożę Wielkiego Wschodu Francji. Bardzo szybko Longchampsowie stali się katolikami, co potomek, ks. dr Franciszek (imię często się powtarzające), przypisuje ich żonom. Równie szybko weszli znaczącymi zasługami w nurt polskiej tradycji narodowej. Walczyli w powstaniach – w listopadowym zginęli dwaj bracia bliźniacy – w pierwszej i drugiej wojnie światowej oraz, co trzeba osobno za-

⁴ B. Longchamps de Berier, *Ochrzczony na szablach powstańczych...*, Ossolineum 1983.

znaczyć, w obronie Lwowa 1918 roku. Dlatego podkreślić należy, że z „zawsze wiernym miastem” rodzina związała się na długo.

Jeden z potomków, którego gościłam wraz z dr. Franciszkiem (nie był wtedy jeszcze księdzem), dr Jan Longchamps de Berier, zamieszkały po wojnie w Gliwicach, odnalazł kilka lat temu w lwowskim archiwum zapiski i plany związane z „lonszanówką”, dawną posiadłością, przekazaną z czasem na własność miastu.

*

Linia dzisiaj żyjących Longchampsów bierze początek od Aleksandra, urodzonego w roku 1766, który był lekarzem. Jeden z jego synów, Wincenty, żonaty z Wiktoria Pol, siostrą poety, miał syna również lekarza, zarazem komendanta wojskowej służby zdrowia na cały obwód lwowski. W następnym pokoleniu pojawił się pierwszy prawnik, Bogusław, autor cytowanego pamiętnika.

Synowie z reguły zdobywali wyższe wykształcenie i dość szybko, jak to określa pan dr Jan, „zainteresowania się rozbudowały”. Jeden z prawników, Mieczysław, „syn któregoś Franciszka”, zajął się górnictwem naftowym. Gwałtowny rozwój Borysławia, ogarniętego naftową gorączką, jednodniowe kariery, nieraz kończone samobójstwem, opisał malowniczo Bogusław Longchamps. Jego krewni zaznaczyli się w tych zdarzeniach działalnością inżynierską, opartą na nowoczesnej wiedzy i pomysłowości oraz śmiałymi inicjatywami gospodarczymi.

Rodzinni lekarze natomiast zapisali się w dziejach Lwowa aktywnością społeczną, uczestnictwem w akcjach zwalczania epidemii cholery, przedsięwzięciach mających na celu podniesienie higieny społeczeństwa. W rozmaitych instytucjach i organizacjach zajmowali poczesne miejsca, co poświadczają dokumenty.

Wymienić trzeba również zasługi dla kultury, największe bodaj i wielorakie, jednego z bliskich krewnych Alfreda Czarnoty-Bojarskiego, autora melodii do słów Wincentego Pola: „W krwawym polu srebrne ptasze”. Prezydował kilku towarzystw śpiewaczym i muzycznym, działał w „Sokole”, a także w Ochotniczej Straży Pożarnej.

Charakterystyczny dla lwowian rodzaj patriotyzmu zaczął bardzo szybko cechować przybyszów – waleczność i właśnie owa społeczna służba. Dokumenty z rodzinnego archiwum oraz pamięć potomków potwierdzają zawsze wielkie zaangażowanie w to, co robili i na czym im zależało, tam gdzie pragnęli odcisnąć ślad, jak i to, że świadomie przyjęte role pełnili z upodobaniem. Dziadek mojego gościa, noszącego to samo imię, Franciszek Longchamps, jeden z owych wielkich, trwale zapisanych w dziejach nauki prawa, ukończył studia w roku 1936. Dwa lata później zrobił doktorat. Walczył w drugiej wojnie jako podporucznik ułanów jazłowieckich (życzył sobie, by tę wojskową przynależność wypisano mu na grobie) i znalazł się w oflagu w Murnau. Tam wykładał współwzięniom prawo. Wnuk powiada, że najwyraźniej wymyślił wtedy własną metodę nauki administracji.

Pierwszym habilitowanym w polskim Uniwersytecie Wrocławskim był Franciszek Longchamps. Pracę skazano jednak na przemiał, gdyż powojenne wła-

dze zabroniły nauki administracji, dopuszczając jedynie „prawo pozytywne”, w tym administracyjne. Trzy lata później, w roku 1950, podobny los spotkał filozofię prawa. Wróciły na uniwersytety w III Rzeczypospolitej. W 1990 r. wydano „Założenia nauki administracji” nieżyjącego już wtedy profesora Franciszka Longchamps.

Oryginalnej treści wszystkich jego publikacji naukowych odpowiadał język – niezwykle precyzyjny, a zarazem piękny, o walorach literackich, które zapamiętali uczniowie, jako wyzwanie i wzór do naśladowania.

Nauka o administracji, położona na rozległym pograniczu prawa i wiedzy o społeczeństwie, nabrała w nowych polskich warunkach ustrojowych znaczenia. Ma licznych młodych adeptów, a zasługi jej „nowatora” są wciąż żywe.

*

Ojciec drugiego z moich rozmówców dr. Jana, który nie poszedł jego śladem i zajmuje się energetyką „po inżyniersku”, już w roku 1922 był profesorem zwyczajnym Uniwersytetu Jana Kazimierza, a wcześniej napisał wiele artykułów z zakresu prawa o zobowiązaniach, pracując w Prokuraturii Skarbu i Prokuraturii Generalnej. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, kiedy przed prawnikami stanęły wielkie zadania, został głównym referentem Komisji Kodyfikacyjnej dla tematu: prawo o zobowiązaniach. Kodeks zobowiązań, którego Roman Longchamps jest współautorem, należy, wedle dr. Franciszka, do podstawowych osiągnięć polskiej myśli prawniczej.

Osoby obu wielkich profesorów, którym rozwój tej myśli zawdzięcza i sporą część fundamentów, i wiele cegieł we wznoszonych nad nimi murach – jeśli mogę taką metaforą się posłużyć – są ciągle wzorami przechowywanymi i przekazywanymi w rodzinnej oraz akademickiej tradycji.

Linie Romana tragicznie przerwała wojna. Zygmunt Albert, profesor medycyny w powojennym Wrocławiu, zapisał: „Wtargnąwszy do domu profesora Longchamps de Berier zachowywali się brutalnie, wytrącili profesorowi papierośnicę z ręki, nie pozwolili wziąć płaszczy, krzyczeli, że nie będą im potrzebne, nie pozwolili żonie i matce pożegnać ani odprowadzić do bramy swoich najbliższych”⁵. Kilka godzin później Niemcy rozstrzelali na Wzgórzach Wuleckich ostatniego rektora Uniwersytetu Jana Kazimierza i jego trzech synów. Najmłodszy, mój rozmówca, wówczas gimnazjalista, ocalał. Dwaj starsi jego bracia studiowali na Wydziale Rolniczym w Dublanach, trzeci wybierał się na architekturę. Zapewne ktoś z czwórki kontynuowałby tradycję akademicką.

W rzędzie prawników, obok wymienionych już, mamy brata prof. Romana – sędziego Naczelnego Trybunału Administracyjnego, córkę Franciszka – jak ojciec zajmującą się prawem administracyjnym w Uniwersytecie Wrocławskim, której przedwczesna śmierć przerwała karierę naukową, i – w najmłodszym, a dorosłym dzisiaj pokoleniu – dr. Franciszka, który z całą świadomością tę tradycję podjął, jakkolwiek lękał się, czy sprostą zobowiązaniom z niej wynikającym.

⁵ *Każń profesorów lwowskich lipiec 1941*, opr. Zygmunt Albert, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego 1989.

*

Swego dziadka imiennika uważa ksiądz doktor za wzór „człowieka uniwersytetu”, który uczniom zaszczerpił bardzo mocne poczucie więzi w akademickiej wspólnoty, więzi opartych na jednoczącym jej członków przywiązaniu do prawdy, nakazującym gorliwe jej poszukiwanie. Nie ma znaczenia, że ktoś moją tezę krytykuje, bo wspólnie dociekamy tego, co najlepsze, a krytyka nie bywa osobista ani upłåtana w jakąś ideologię powiada potomek.

Pytałam, czy tak zdefiniowane więzi między „ludźmi uniwersytetu” trwają? Odpowiedź – twierdząca – nastąpiła po chwili wahania. Pytałam także, jakiej prawdy poszukuje się w prawie rzymskim, które jest domeną mojego gościa? Usłyszałam, że szukamy rozwiązań, jakie przed nami znaleźli Rzymianie, „szalenie utylitarni”, którzy pozostawili nam do wyboru oraz użytku spory rezerwuwar mądrych rozstrzygnięć takich spraw, z którymi dzisiejsze społeczeństwa również się borykają. Pytałam czy dużo tam jeszcze rozwiązań dotąd nie odnalezionych? Dr Longchamps powołał się na swego mistrza prof. Henryka Kupiszewskiego, mówiąc, że każde pokolenie przychodzi do dawnych źródeł ze swoim pytaniem. I we własnym imieniu stwierdził, że nasze pytanie brzmi: Czym prawo jest? Warto się trudzić szukając odpowiedzi, bo za nią mogą pójść wyjaśnienia rozmaitych sytuacji, w których prawo nagle okazuje się skostniałe i niedostosowane do potrzeb praktyki, zupełnie nowych.

Ks. dr Franciszek Longchamps zajmuje się również teologią. Studiował ją zaocznie, równoległe z prawem. Uważa za szalenie ważne związanie prawa z moralnością, nie zgadzając się z tymi, którzy twierdzą, że nie mają one ze sobą nic wspólnego, a jakiegokolwiek „umoralnianie” prawa, podobnie jak polityki, musi być bezowocne. Zgodziliśmy się, że nie należałoby prób poniechać, mimo wszelkich przeświadczeń o upadku ideałów oraz doświadczeń zdających się to potwierdzać. W tej sferze, którą zajmuje się filozofia prawa, przedmiot nauczania uniwersyteckiego, przywrócony w roku 1989, mieszczą się pytania o nieposłuszeństwo cywilne, o aborcję, o eutanazję.

*

Dr Franciszek zna swoich wielkich przodków z ich publikacji i z opowieści. Jego krewny Jan wychowywał się w domu, gdzie bywali profesorowie uniwersytetu lwowskiego, koledzy ojca i stryja, ale także znajomi ciotki, absolwentki Akademii Sztuk Pięknych. Prof. Roman Longchamps, bardzo zajęty pracą naukową, znajdował czas na uprawianie sportów ze swymi czterema synami. Jeździli na nartach, pływali, grali w tenisa i ping-ponga, na co w lwowskim mieszkaniu wygospodarowano stałe miejsce. Do ulubionego kina rodzice chodzili późno wieczorem, kiedy młodsze potomstwo kładło się spać.

Jako cechę określającą atmosferę dziecinnego domu, pan doktor wymienia „ ducha wspólnoty”, który materializował się raz po raz we wspólnej odpowiedzialności, także synów, za np. domowe wydatki. Najstarszy brat pisał kiedyś do rodziców, że nie trzeba koniecznie kupować kajaka, gdyż, jak mu wiadomo, są akurat inne potrzeby. Życie domowe organizowała matka, trzymając

w ryzach czterech chłopców, z których każdy był indywidualnością przez rodzinę szanowaną.

W domu było „do tańca i do różańca”. Odbywały się kursy tańca i zabawy, wychowywano dzieci w duchu „mądrygo chrześcijaństwa”, bez bigoterii, a wedle jasnych reguł, jakimi należało się kierować.

Austro-Węgry nad Odrą

„Jakiś niepowtarzalny klimat tutaj panuje i o tym mówią wszyscy, którzy przychodzą. Zawsze jest ruch, a jednak nic nie dzieje się w pośpiechu, atmosfera nie jest nerwowa, można spokojnie porozmawiać”. Seniorem „rodu uczonego” jest teraz prof. Tadeusz Maria, a jego brat, śpiewak operowy, podtrzymuje żywy wątek zamiłowań artystycznych.

Uczeń szkoły powszechnej we Lwowie Tadeusz Zipser patrzył przez okno klasy na kamienicę, w której mieszkała jego przyszła teściowa. Lwowskie zakorzenie, wzmocnione, jak usłyszałam, tradycją żony (właściwie częścią tej tradycji) i nostalgią, skłania profesora dzisiaj do zastanawiania się nad „procesem pamięciowym” u jego dzieci. One jednak mają dla swoich korzeni żyźniejszą glebę, o czym mówili przy końcu naszego spotkania.

*

Kiedy urodził się Tadeusz, jego ojciec prof. Kazimierz Zipser był drugi raz rektorem Politechniki Lwowskiej, w której cieniu syn, jak wspomina, dorastał.

Prof. Zipser senior przyszedł na świat w Zbarażu w roku 1875. Wcześniej osierocony wychowywał się w domu stryja, lwowskiego aptekarza. Studiował na Wydziale Budownictwa Lądowego politechniki, interesując się szczególnie i specjalizując w zagadnieniach kolei żelaznej, gdzie kryło się wówczas wiele pytań i wyzwań dla ciekawych umysłów oraz charakterów skłonnych do urzeczywistniania naukowych koncepcji. Kazimierz Zipser po studiach zaczął budować koleje w różnych miejscach Europy, m.in. w okolicach Innsbrucku.

Pierwszą wojnę światową przesłużył w armii austriackiej. W niepodległej Polsce został urzędnikiem ministerstwa kolei i niebawem dyrektorem departamentu. Służba publiczna potrzebowała wtedy takich jak on fachowców, nie biorących udziału w życiu politycznym, nie należących do żadnego politycznego ugrupowania. Z tą służbą łączył Kazimierz Zipser pracę naukową i w roku 1921 został profesorem zwyczajnym Politechniki Lwowskiej, niebawem zaś jej rektorem.

Dom dziecinny Tadeusza Marii odwiedzali licznie i często koledzy ojca, profesorowie politechniki i Uniwersytetu Jana Kazimierza. Druga wojna przytłumiła to życie towarzyskie, ale za zaciemnionymi oknami nadal rozmawiano o najważniejszych sprawach nauki i ludziach, którzy ją uprawiali, a znaleźli się w niebezpieczeństwie. Czwartego lipca 1941 r. Niemcy rozstrzelali we Lwowie grupę profesorów i młodszych pracowników szkół wyższych z częścią ich rodzin. Zginął m.in. Kazimierz Bartel, wybitny matematyk z politechniki, były premier Rządu RP. Prof. Zipser zabrał kilkuletniego syna na spotkanie,

odbywające się na rogu dwu dużych ulic. Tadeusz zapamiętał groźną aurę i wielką powagę tego dnia oraz dalszych dni, kiedy ojciec przychodził bardzo spięty, ale spokojny, co chyba dużo go kosztowało. W dorosłym życiu syn starał się wykształcić w sobie te same cechy i podobnie „działać przykładem”.

Po wojnie prof. Zipser z rodziną wybierał się do Gdańska. Tadeusz wpadł na pomysł, żeby paczki z rzeczami podpisywać gotykiem, skoro w tym mieście żyli Niemcy – a miał już wtedy zamiłowanie do rysunków i, jak to określa, skłonności artystyczne.

W tym miejscu profesor junior zrobił dygresję (bardzo lubi dygresje) o swoim rozumieniu słowa artysta. Otóż artysta to dlań ktoś taki, jak święty, kim zostaje się dopiero po śmierci, kiedy potomni kogoś za artystę uznają.

Po drodze znajomi „wygarnęli” rodzinę w Krakowie na całe dwa lata, które Kazimierz Zipser przepracował na politechnicznych wydziałach AGH. Inna dygresja: w tym samym mniej więcej czasie rodzina przyszłej żony Tadeusza także wybierała się do Gdańska i także z tego zrezygnowała.

Prof. Zipsera ściągnął nad Odrę pierwszy rektor Uniwersytetu Wrocławskiego, aż do roku 1951 połączonego z politechniką, Stanisław Kulczyński, na stanowisko prorektora do spraw politechniki. W wieku 73 lat przyszło mu więc trzeci raz kierować uczelnią, w której zdążył wychować grono następców i... młodszego syna.

*

Ten, dziś głowa rodu i mistrz wielu uczniów, pokazał mi w dużej szafie cztery grube tomiska historii kolei monarchii austro-węgierskiej. Urzekły go w dzieciństwie zwłaszcza ilustracje przedstawiające parowozy i wagony, a niemiecki tekst stanowił okazję do „niewymuszonego kontaktu” z obcym językiem i pozostawił przekonanie, że znajomość języków jest w życiu nieodzowna.

Ojciec, specjalista od kolei, namówił syna na architekturę, kiedy ten po maturze myślał o Akademii Sztuk Pięknych i o historii sztuki. U końca studiów ciągle nie był zdecydowany, co robić i po „krótkiej odysei” przez katedry Historii Architektury, Projektowania Wstępnego, Rysunku Odręcznego znalazł się na zawsze w Katedrze Urbanistyki, przechodząc w inną skalę zainteresowań, czyli planowanie przestrzenne.

Kolejna w naszej rozmowie dygresja była wspomnieniem o krewnym po kądzieli pani Aleny Zipserowej, profesorze historii architektury we Wrocławiu, Tadeuszu Broniewskim, którego dobrze znałam jako sąsiada z czasów mego tam dzieciństwa.

Tadeusz Zipser jest profesorem od roku 1976. W Sierpniu zaangażował się mocno w „Solidarność”, związany już wcześniej z opozycją demokratyczną. W roku 1981 wybrano go na rektora Politechniki Wrocławskiej, mógł więc wprost kontynuować dzieło swego ojca.

Architektura, jego zdaniem, musi być po części sztuką, gdyż tak jak potrzebne są człowiekowi i codzienne ubrania, i odświętne stroje, tak samo potrzebne jest dobre budownictwo i takie budowle, które mają w sobie wieczno-

trwałe piękno. Rozdzielił w swojej pracy oraz zamiłowaniach projektowanie i badania, ostatnio głównie nad modelami zagospodarowania przestrzennego miast. Projektował sporo, m.in. kościół św. Ducha we Wrocławiu, kościół w Świeradowie, piękną kaplicę na jednym z wrocławskich cmentarzy. Idee urbanistyczne, które lansuje, są z reguły dyskusyjne, niekiedy wywołują sprzeciw, ale wiemy już, że w domu Zipserów ciągle jest ruch i ferment umysłowy, a niktogo to nie przytłacza ani nie obezwładnia.

W tajemnicy jednak przed najbliższymi Tadeusz Zipser pisał szereg lat osobliwe i zaskakujące dzieło. Nazywa się „Respicjum. Symetryczna komedia symetryczna”. Ukazało się w roku 2002. Jest spisana w znakomitej (zmiennej) metryce summa myśli autora o dziejach świata pojętych niezwykle szeroko w sensie historycznym i metafizycznym, widzianych z perspektywy chrześcijańskiej a potraktowanych z ogromną i wszechstronną erudycją. „Respicjum” zainteresowało Czesława Miłosza, który przestał prof. Zipserowi wnikliwie uwagi i wyrazy uznania.

*

Rodzice pani Aleny Jenikovej spotkali się w Jastarni, dokąd ona przyjechała ze Lwowa, gdzie studiowała historię, on z Pragi, gdzie studiował architekturę, a później sztuki piękne w akademii (trop rodzinny). Po wojnie ojciec przeżył komunistyczne więzienie i wszelkie szykany minionego systemu. Córka pojechała do Wrocławia studiować na uniwersytecie slawistykę, tj. bohemistykę i filologię polską. W klubie politechniki, przy herbatce, poznała przyszłego męża – dr. Tadeusza Zipsera. Polonistyczny wątek przedłuża się w osobie krewnego Zipserów Jana Błońskiego, profesora UJ i znanego krytyka literackiego.

Pani Alena pracuje w Uniwersytecie Wrocławskim. Za swe zadanie, zgoła misję, uznała przekazywanie informacji – racjonalnych i udokumentowanych – o obu narodach, polskim i czeskim, młodemu pokoleniu, żeby te narody znajdowały płaszczyznę porozumienia. W poprzedniej epoce władze żywiły obawę, żeby dwa kraje nie znalazły wspólnego języka, a zatem nie stanowiły zagrożenia. To, co widać na Dolnym Śląsku, świadczy o potrzebie wymiany kulturowych doświadczeń. Pani Alena ma, jak mówi, wielką radość ze swojej pracy, a jej dzieci bardzo świadomie przeżywają bogactwo podwójnej tożsamości. Jeden z synów powiada: – Staram się i po tamtej i po tej stronie zawsze chwalić i propagować kulturę albo polską albo czeską.

Najstarsza z trójki Joanna skończyła anglistykę i ma już własny dom. Starszy syn Wawrzyniec skończył planowanie przestrzenne i ma przed sobą, z uwagi na ojcowski dorobek w tej dziedzinie, „dosyć wysoką poprzeczkę”. Myślał o historii lub prawie, ale uprzytomnił sobie, że planowanie przestrzenne będzie tym, co harmonijnie połączy jego humanistyczne i techniczne „wewnętrzne potrzeby”. Młodszy brat Jan studiuje archeologię i uważa, że to dobrze, kiedy w rodzinie nie wszyscy zajmują się tym samym. Rozmowy przy herbacie, jak nasza, są ciekawsze i żywsze, a przekonałam się, że w rodzinie Zipserów panuje wzajemna ciekawość, że „długi krok pokoleniowy”, tj. znaczna różnica

wieku między rodzicami i dziećmi, wcale nie przeszkadza w porozumieniu i to dotyczącym spraw najważniejszych.

*

Biografie dziadka i ojca obfitowały w próby i wyzwania dla ich patriotycznych postaw oraz ich ofiarności w przedsięwzięciu trudów nie związanych z własną drogą naukową. Pytałam młodych, jak rozumieją i czują swoje powinności wobec Ojczyzny, na pewno odmienne, ale może nie mniejsze. Stwierdzili zgodnie, że w niepowtarzalnym klimacie ich domu patriotyzm był ważnym elementem. Podkreślili raz jeszcze to, że mają Ojczyzny „więcej” niż niejeden rówieśnik, z powodu przynależności do dwu narodów i wychowania w dwóch kulturach. Zapewne dlatego też i powinności będą większe. Może przyjdzie je pełnić niekoniecznie żyjąc nieprzerwanie w tym samym kraju. Najmłodszy z Zipserów, których poznałam, powiedział, że na pewno chodzi o to, żeby nie czynić zła. Sądzę, że więcej w tym skromności niż ostrożnego minimalizmu. Pani Alena dopowiedziała: „Myślę, że głębokie uczucia wobec kraju, w którym się żyje, w każdej chwili mogą być ujawnione, a młodzież po prostu mówi o tym innym językiem”.

Odległą genealogię przywołał pan prof. Zipser dopiero przy końcu spotkania: „– Nazwisko nasze wskazuje dosyć wyraźnie korzenie w Spiszu, bo Zips to Spisz, a więc w jeszcze trzecim kraju – Słowacji”. Był to obszar poddany silnym wpływom węgierskim, ale i niemieckim; brzmienie nazwiska jest właśnie niemieckie. Rozszerzają się zatem granice rodzinności. Wiadomo z dokumentów, że ludzie o nazwisku Zipser działali na terenie południowej Polski już w średnich wiekach i, co ciekawe, zajmowali się... architekturą. Nosił je budowniczy sklepienia kościoła Mariackiego w Krakowie i ten, kto budował kościół Bożego Ciała na krakowskim Kazimierzu. Przypomniałam sobie, że Tadeusz Zipser realizował odbudowę wieży kościoła św. Elżbiety, jednego z najwspanialszych zabytków wrocławskich. O wspomnianych protoplastach, wśród których był i wójt krakowski z czasów Zygmunta Starego, profesor junior wiedział od swego ojca jeszcze we Lwowie. „To nas też sytuuje środkowoeuropejsko, ale zarazem włącza w jeszcze szerszy krąg przenikających się na tym kontynencie kultur. Całe dzieciństwo i spory kawał młodości żyłem w poczuciu, że należę do narodu, który nie jest gorszy od innych i mieszkam w państwie nie gorszym od innych, choć jest uboższe, choć było ciemnione”. Profesor ubolewa nad obserwowaną dzisiaj tendencją do pomniejszania różnych stron polskiego życia, rozumiejąc, że jest to często przedłużona reakcja na niedysyjszą propagandę sukcesu. Pani Alena także tym się troska w przekonaniu, że z poczucia wartości, jeśli nie wyrodi się w megalomanię, bierze się życzliwość wobec innych narodów, u których spokojnie akceptujemy zalety, nie doszukując się wad, jakie dawałyby *schadenfreude*.

Bogata tożsamość rodziców i tradycja zapisana udziałem w dorobku dwu lub trzech narodów stanowi dla najmłodszych wzór niekwestionowany. Długo

są w domu, a że klimat w nim „niepowtarzalny”, spokoju i miejsca starcza dla każdego, nauczą się tradycję kontynuować.

Ambicjonerstwo szczodre

Jedenastoletniemu Jankowi, który dzisiaj jest profesorem PWST, ojciec, prof. Stanisław Kulczyński ofiarował „Olszynkę Grochowską” Walerego Przyborowskiego z dedykacją: „Pamiętaj czytając, że twój pradziad Leon walczył w tej bitwie”.

Nie bitewne wszakże zasługi najmocniej naznaczyły rodzinną tradycję i nie z Warszawą najmocniej związały się losy rodziny, choć ojciec mojego rozmówcy tu działał w ostatnich latach życia, a prof. Kulczyński syn większą jego część spędził w stolicy. Zapewnia jednak, że i Kraków, i Warszawę uważa za swoje miasta. Przy tym wszystkim z pochodzenia jest lwowianinem.

Pradziad Leon wykształcił wszystkich pięciu synów. Noszący po ojcu imię stryjeczny dziad ukończył filologię klasyczną i wiele lat dyktował krakowskiemu gimnazjum św. Anny, nazwanemu później gimnazjum Nowodworskim. Uczył Juliusza Osterwę i Leona Schillera, który później kierował Wydziałem Reżyserskim szkoły teatralnej, a tę sukcesję przejął na lat niemało Jan Kulczyński, mający teatralny wątek w rodzinnych dziejach. Dziad Leon żonaty był z Estreicherówną, którą mały Janek poznał już jako seniorkę rodu. Po dziesięcioleciach przypomina to zdarzenie dlatego, że od dawna ceni sobie szczególnie „ten polski patriotyzm galicyjski – Estreicherów, Zollów, Langów i innych implantów, których sprowadził austriacki cesarz po to, aby Galicję zgermanizowali, a oni stali się podporą polskiej kultury”.

*

W każdym pokoleniu Kulczyńskich są osoby zasługujące na pamięć i zainteresowanie. Jedną z córek Leona-filologa, Teresa, będąc uczennicą Florence Nightingale, wprowadzała w Polsce nowoczesne pielęgniarstwo.

Na ścianie pokoju, gdzie rozmawialiśmy, wisi portret brodatego pana „w cwiekach” – to dziadek Władysław. Był arachnologiem, specjalistą od pajaków. Jego rzadka profesja obroniła Jana Kulczyńskiego, młodego członka OMTUR (młodzieżowa przybudówka PPS), przed wysłaniem na agitację do fabryki. Władze organizacji usłyszawszy, że jeden z przodków delikwenta był przed wojną prokuratorem, drugi zaś arachnologiem, uznały wnuka za element ideologicznie niepewny i odstąpiły od zamiaru.

Dziadek zaś ma w swojej specjalności ogromne zasługi. Wspólnie z „pajęczarzem-amatorem” węgierskim ogłosił 14-tomowe dzieło *Aranaeie Ungariae*. Odziedziczone po nim archiwum zawiera prowadzoną w szesnastu językach korespondencję z misjonarzami z najdalszych miejsc świata, którzy przysyłali mu okazy pajaków. Zbiory Władysława Kulczyńskiego można oglądać w warszawskim Muzeum Ziemi. Jego idee związane z systematyką pajęczaków są wciąż żywe – pewien rodzaj nazwany został nie tak dawno *Kulczynskiellum*.

Na stole, przy którym siedzieliśmy w domu Krystyny i Jana Kulczyńskich, leżała duża i bardzo gruba księga, właściwie album wydany z okazji 30-lecia pracy dziadka mego gospodarza w Komisji Fizjograficznej PAU w roku 1910. Zawiera zdjęcia oraz autografy takich ludzi, jak Stanisław Tarnowski, Franciszek Smolka i inni podobnej miary.

Władysław Kulczyński miał jeszcze drugą pasję – Tatry. Pragnął je przede wszystkim opisać, ale także uprzystępnąć ludziom. Wyznaczał szlaki, budował nowe schroniska – przy Morskim Oku, na Tomanowej. Idąc z ojcem Żlebem Kulczyńskiego, prowadzącym ze Zmarzłego Stawu pod Zawratem na Kozi Wierch, Jan Kulczyński poczuł się bardzo mocno w tradycji rodzinnej. W tatrzańskej encyklopedii znajdujemy dwóch Władysławów Kulczyńskich – ojca, o którym wyżej, i syna, który wiele jego prac kontynuował.

*

Prof. Jan Kulczyński uważa więzy rodzinne za coś tak naturalnego, że nie wymagającego podkreślania. Spośród ośmiorga dzieci dziadka Władysława opowiedział o ciotce Joannie, jej mężu Józefie Rączkowskim, poecie, któremu okładkę do tomiku wierszy „zrobił” Wyspiański. Oboje byli bliskimi współpracownikami Wincentego Witosa. Ich syn Stanisław Rączkowski jest profesorem SGH, doktorem honorowym tej uczelni. Współpracował przez wiele lat z ONZ, bywając często w Nowym Jorku. Dla kuzyna, Jana Kulczyńskiego, ważnym wątkiem w jego biografii jest przynależność do Szarych Szeregów, którą to organizację Stanisław Rączkowski współtworzył. Podejrzewa też, że nazwa pochodzi właśnie od tego syna młodopolskiego poety.

Wśród bliskich, nazwanych „ósemką”, są nie tylko dzieci dziadka Władysława, ale wielu członków najbliższej i nieco dalszej rodziny z dwu co najmniej pokoleń. Należy do niej „wujcio Kazio”, architekt, człowiek wielkiej wiedzy, wyjątkowej zdolności opowiadania i walorów rodzinno-towarzyskich.

Ciotka Wanda, która przepracowała całe życie w Państwowej Radzie Ochrony Przyrody, miała na pieczy lub osobiście redagowała mnóstwo biuletynów oraz wydawnictw, takich np., jak „Wierchy”. Zauważyłam, że przyrodnicze zainteresowania Kulczyńskich mają zawsze akcent społeczny, który dochodzi do głosu w tym, co dzisiaj nazywamy popularyzacją. Towarzyszy im pragnienie dzielenia się, użyczania innym doznawanej w obcowaniu z naturą radości i satysfakcji, nawet jeśli jest to mocno wyspecjalizowana praca naukowa. Prof. Jan Kulczyński powiedział zresztą, że rysem najbardziej charakterystycznym w jego rodzinnej tradycji jest „nauczycielstwo”. Dwaj dziadkowie uczyli w gimnazjum Nowodworskim, inni i ojciec w uniwersytetach. On sam jest wykładowcą. A córka, romaniśka, kształci studentów Uniwersytetu Warszawskiego.

*

Stanisław Kulczyński został profesorem nadzwyczajnym w wieku 31 lat i otrzymał Katedrę Botaniki w Uniwersytecie Jana Kazimierza. Miał dwa wielkie pragnienia. Jedno udało mu się urzeczywistnić – założył we Lwowie, pierwszy w Polsce, a jeden z pierwszych na świecie ogród flory rodzimej,

zbierając w jednym miejscu (na Cetnerówce) wszystkie rośliny, jakie rosły na ziemiach południowo wschodniej Polski. Drugim było zbadanie torfowisk Polesia, w czym postąpił bardzo daleko. Prace przerwała wojna, udaremniła ostatecznie powojenna zmiana granic.

Bocznym, ale znacznym nurtem płynęły zainteresowania matematyczne profesora botaniki. Zaprzyjaźnił się z największymi Lwowskiej Szkoły: Banachem, Stożkiem, Kuratowskim, Steinhausem, i zyskał wielką satysfakcję, gdy go, choć był w tej dziedzinie samoukiem, przyjęto do Polskiego Towarzystwa Matematycznego.

W roku 1936 Stanisław Kulczyński został wybrany na rektora UJK. Miał 41 lat. Był to ciężki czas, kiedy młodzież ONR-owska domagała się getta ławkowego, kiedy nasiliły się nastroje antysemickie i nacjonalistyczne. Rektor uważał, że hańbią uniwersytet i podał się do dymisji. Zdaniem syna, przeżycie to zradycyzowało mocno człowieka dotąd apolitycznego, ceniącego sobie najwyżej niezależność i autonomię uczelni. Z tych lat, krótko przed wojną, datują się kontakty rektora Kulczyńskiego z kręgiem Towarzystwa Demokratycznego, przekształconego potem w Stronnictwo Demokratyczne, na którego czele miał stanąć po wojnie.

Podczas okupacji Stanisław Kulczyński był delegatem Rządu Londyńskiego na ziemię południowo wschodnie, pełniąc właściwie funkcję wojewody państwa podziemnego. Gdy grunt palił się pod nogami, wywozła go ze Lwowa osoba, która dziś jest legendą – Karolina Lanckorońska, zaprzyjaźniona z rodziną od czasu owych ekscesów antysemickich w uniwersytecie, kiedy to gorąco poparła rektora, sama będąc adiunktem historii sztuki.

Prof. Kulczyński znalazł się w majątku Kawęczyny, dzierżawionym przez ojca Barbary Lemowej.

Po wojnie nie było polskiego uniwersytetu we Lwowie, ani ogrodu botanicznego, ani poleskich torfowisk. Profesor zgłosił się na Uniwersytet Jagielloński, a gdy nie znalazł tam miejsca, postanowił pojechać do Wrocławia i założyć polski uniwersytet. Odtąd jego działalność już sama pamiętam, gdyż tę uczelnię, łączącą wtedy i Politechnikę, i Wydział Lekarski, i Wydział Rolny, współtworzyli moi rodzice oraz cały krąg ludzi nauki przybyłych ze Lwowa i ze zrujnowanej Warszawy.

Pierwszy rektor bardzo wyraźnie nawiązywał nad Odrą do lwowskich tradycji. Niepodobna było jeszcze, w tuż powojennych latach, odwoływać się do tradycji nauki niemieckiej w tym mieście wygnańców. Stanisław Kulczyński, jak to określa syn, z pięknoducha przekształcił się w polityka. Przeniósł się do Warszawy i z ramienia SD pełnił najpierw funkcję wicemarszałka Sejmu, a potem wiceprzewodniczącego Rady Państwa. Zmarł w roku 1975.

*

Dwójka dzieci prof. Kulczyńskiego, Jan i starsza siostra, nieżyjąca już Izabella – artysta plastyk, autorka wierszowanej opowieści o swoim lwowskim życiu – wyjechała z rodzinnego miasta po zjedzeniu do końca beczki kiszzonej kapusty ukradzonej przez nie na cytadeli. Wyjechały, podobnie jak nieco

później ich ojciec, pod opieką Karoliny Lanckorońskiej, nazywanej cicią. Zamieszkały u prawdziwych wujostwa, ucząc się wedle ówczesnych wojennych możliwości. Rodzice zostali we Lwowie.

Na początku stycznia 1945 roku fala nocnych aresztowań zabrała ich matkę Marię Kulczyńską i zaniósła aż do Donbasu na ciężkie roboty. Świadcstwo tych przeżyć zawarła w wydanym po wojnie wspomnieniu. Wróciła do odmienionego świata, we wrześniu 1945 roku, kiedy jej mąż trudził się nad tworzeniem uniwersytetu pośród wrocławskich gruzów. Syn państwa Kulczyńskich miał w tym uniwersytecie studiować polonistykę, kilka lat wcześniej ode mnie.

Po latach w Warszawie opowiedział mi z uśmiechem o tarapatkach enkawudysty, który aresztował jego matkę i robiąc rewizję znalazł worek listów z całego świata, które były odpowiedzią na apel pani Marii z 1936 roku do wszystkich kobiet, aby strzegły synów przed nienawiścią rasową, przed nienawiścią do innych ludzi. Apel rozesłała Polska Agencja Telegraficzna. Bardzo dużo roboty miało lwowskie NKWD z tymi różnojęzycznymi tekstami, a ich autorka czekała w więzieniu na koniec lektury.

Jan Kulczyński zarzucił mi, trochę żartobliwie, „forsowanie tezy” o znaczeniu tradycji rodzinnej dla życiowych wyborów i życiowych dróg kolejnych pokoleń. Sam jednak szukał w pamięci tropów artystycznych, do których nawiązywałyby jego własne wybory. I tak: matka chciała być aktorką, nie stało się tak jednak z powodu zachowawczych poglądów jej ojca. Jedna z ciotek miała wykształcenie i osiągnięcia muzyczne. O siostrze już była mowa. Mój gospodarz zaś, po wrocławskiej polonistyce, odbył w Warszawie studia reżyserskie i w PWST przeszedł szczyble kariery akademickiej, rozpoczętej asystenturą u Bohdana Korzeniewskiego, uwieńczone profesurą w roku 1990.

Początki pracy reżyserskiej, z której znany jest publiczności, wiążą się z teatrem Ateneum i takim szczególnym, choć niedługim czasem, kiedy to Aleksander Bardini zaangażował tam absolwentów jednego rocznika Szkoły Teatralnej. Znaczące przedstawienia Jana Kulczyńskiego to „Proces” Kafki, „Wieczór Trzech Króli” wystawiony w Starej Prochowni w obsadzie samych pań spośród czołówki polskich aktorek. W stanie wojennym opuścił stanowisko zastępcy dyrektora Teatru Telewizji. Potem przez 10 lat reżyserował w Niemczech – sporo dramatów polskich.

Wątki polonistyczny i teatralny spłoty się ostatnio bardzo interesująco w pracy nad wydaną w roku 1999 książką „Rozbieranie Hamleta”, wysoko ocenioną przez szekspirologów.

„Jesteśmy na pewno rodziną ambicjonerów – słyszę na końcu spotkania. – na szczęście to z czasem stygnie”. Myślę, że, na szczęście, nie stygnie całkiem i pytam o córkę pana profesora. Ojciec jest dumny z jej postępów, z jej pasji przekazywania wiedzy, co już wcześniej wytłumaczył wpływem tradycji nauczycielskiej. Uważa, że sam osiągnął niezłą harmonię między ambicjami i zadowoleniem z tego, co się udało urzeczywistnić.